Nr. 8. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. kwietnia 1928. | Rok 50.

ŁOWIEC

KALENDARZ ŁOWIECKI

W kwietniu wolno polować na głuszce, cietrzewie, słonki, kaczory, bataliony i łabędzie.



NR. 8. WE LWOWIE, 16. KWIETNIA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Wagę pracy Wydziału Towarzystwa w okresie od 16. maja 1912 do 15. maja 1913 ujawnia przedewszystkiem ustawiczne jego czuwanie nad możliwie ścisłem stosowaniem i wykonywaniem przepisów ustawy łowieckiej, przez powołane do tego władze i organa.

Wadliwa stylizacja i niewłaściwa często interpretacja wielu paragrafów tej ustawy sprawiły, że Spółki łowieckie wydzierżawiały prawo wykonywania polowania byle komu, nie mającemu wyobrażenia o myślistwie, co, rzecz jasna, groziło wprost zagładą zwierzostanu.

Trzeba więc było nieprawidłowości takie energicznie zwalczać i częstokroć dotyczące uchwały Spółek łowieckich przedkładać Namiestnictwu z wnioskiem na unieważnienie.

W danych wypadkach orzeczenie odmowne opierano na wyraźnych przepisach ustawy łowieckiej, która ma jedynie na celu ochronę i hodowlę zwierzyny i wogóle rozwój kultury, zaczem prawo wykonywania polowania może być wydzierżawione wyłącznie ukwalifikowanym myśliwym-hodowcom, którzy zwierzynę żywią, drapieżniki tępią, terenów dozorują i polują na nich racjonalnie.

Zaakcentować należy, że wszystkie te sprawy w powyższy sposób zaopinjowane — a było ich w tym czasie 80, — Namiestnictwo zwróciło starostom z poleceniem zarządzenia powtórnych licytacji danych polowań, po myśli naszych orzeczeń.

Musiał też Wydział Towarzystwa wielokrotnie wnosić do Namiestnictwa onergiczne protesty przeciw nielegalnem zarządzeniom tych starostów, którzy uchwały Spółek łowieckich zatwierdzali bez zasiągania opinji Wydziału lub delegatów G. T. Ł., czem dopuszczali się przekroczenia specjalnego reskryptu Namiestnictwa do l. XVI. 672|3 z r. 1910, wzbraniającego stanowczo takiego postępowania.

Celem zwalczania kłusownictwa wniesiono do władz sądowych i administracyjnych memorjał. Jako przykład jak kłusowników karać należy, przytoczono w tym memorjale wyrok Sądu krajowego w Solnogrodzie, który czterych kłusowników za ubicie kozicy w rewirze polowań ks. Lichtensteina, skazał jednego z nich na 4 miesiące, a 3-ch innych każdego na 3 miesiące ciężkiego więzienia. Przy wymiarze kary przyjął sąd ten za podstawę nie wartość mięsa ubitej zwierzyny, lecz wartość zwierzyny żyjącej, którą znawcy ocenili na 120 do 150 K.

Zażalenie obwinionych Najwyższy Trybunał w Wiedniu — wyrokiem z dnia 19. listopada 1912 — odrzucił, podnosząc w motywach, że zwierzyna została właś-

cicielowi polowania zabrana w stanie żyjącym, a zatem wartość tejże jako żyjącej przyjąć należy, kłusownik bowiem nieprawnie zwierzynę żyjącą zabrał (skradł), a zabił ją wbrew życzeniu właściciela.

Wobec tego — podkreślono w memorjale — orzeczenie powyższe powinno być w danych wypadkach miarodajne dla każdego sędziego, jako wynikające z §§. 171 i 173 ust. kar. Tego rodzaju kradzież rzeczy ruchomej, stanowiącej rozpłodowy inwentarz żywy — staje się zbrodnią.

Pierwszych wyników dodatnich skutkiem tak przedstawionej sprawy, doczekano się niebawem. Dwu bowiem kłusowników (recydywistów) z Delastowic, ukarał sąd grzywnami po 100 K., Namiestnictwo zaś na podstawie referatu delegata J Ćwierzewicza przynagliło starostów w pow. bocheńskim i wieliekim do załatwienia skarg tegoż delgata, wniesionych przeciw grasantom, niszczącym nietylko zwierzynę na dzierżawionych przez nich terenach, lecz i sąsiednich. Wnet też swawola tych grasantów została ukrócona.

Mając na oku także i kwestje donioślejszego znaczenia i nie ograniczając się tylko do gospodarstwa na własnej grzędzie, delegował Wydział swego wiceprezesa Krogulskiego, na Wystawę Sportowo-Przemysłową w Warszawie. Tam, kooptowany do grona jurorów, sprawował on urząd sędziego.

Wyczerpujące i fachowe jego omówienie tej wystawy i przedstawienia na niej całokształtu łowiectwa ziem polskich, podał „Łowiec“ w 15 numerze.

Myślą dr. Wł. Burzyńskiego, stworzenia rezerwatu leśnego z dawnego Państwa Nadwórniańskiego, zajął się Wydział Tow. jak najgorliwiej, jako sprawą pierwszorzędnej doniosłości dla fauny łowieckiej. Postarał się o poruszenie tego projektu w prasie zawodowej, pokrewnej i codziennej, podając myśl tej rozwadze wszystkich miłośników przyrody z prośbą o współudział w dokonaniu zamierzonego dzieła.

Spełniono też miły obowiązek doręczenia ks. Andrzejowi Lubomirskiemu dyplomu członka honorowego G. T. Ł. za cenne zasługi jego w doprowadzeniu do skutku urządzenia pawilonu naszych trofeów myśliwskich na Wystawie łowieckiej w Wiedniu 1910.

Sprawozdanie powyższe zostało przedłożone Walnemu Zebraniu członków Towarzystwa dnia 11. czerwca 1913.

Zagaja ją prezes St. hr. Stadnicki i w przemówieniu swem zaznacza, że „przesilenie ekonomiczne przez które przechodzi nasz kraj wskutek zawieruchy politycznej, nie pozostało bez ujemnego wpływu na rozwój Towarzystwa“.

Wyraża też swe zadowolenie, że „rządy kraju przeszły w inne ręce*), dzięki czemu władze krajowe odnosić się będą do spraw łowieckich, z większą niż dotąd życzliwością“.

*) Po dr. Bobrzyńskim, który wartości łowiectwa nie doceniał, przyszedł dr. Korytowski.

Po oddaniu czci pamięci tym, których śmierć zabrała (I. Bajewski, dr. G. Bielański, br. M. Błażowski, Leszek Cieński, I. Frenkel, M. Kęplicz, B. Kieszkowski, A. Łastowiecki, M. Niedźwiecki, L. Ostrowski, Wł. Raciborski, W. Rungie, B. Siedlecki, dr. Tad. Sołowij, A. Terlecki, K. hr. Weissenwolf, dr. F. Woynarowski, Z. Ziembowicz i A. Onyszkiewicz —, przystąpiono do porządku dziennego.

Przy sprawozdaniu z czynności Wydziału Towarzystwa zabiera głos delegat J. Ćwierzewicz i imieniem myśliwych powiatu bocheńskiego i wielickiego wyraża podziękowanie Wydziałowi za energiczną pomoc w uzdrowieniu stosunków łowieckich i w walce przeciw kłusownictwu w tych powiatach. Delegat H. Prek i inni piętnują postępowanie władzy politycznej w sprawach łowieckich za rządów byłego namiestnika. Przytaczają fakty, stwierdzające, że notoryczni kłusownicy, przyłapani *in flagranti* nietylko nie zostali ukarani, ale przeciwnie władza kazała im zwrócić strzelby, dlatego tylko, że byli jej potrzebni przy wyborach!...

Wicepr. Krogulski, dziękując del. Ćwierzewiczowi za ocenę spełnionych przez Wydział obowiązków, zapewnia, iż jeżeli nie wszystkie sprawy, z jakiemi się delegaci i członkowie do Wydziału odnieśli, pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem — to wina w tem ani Wydziału, ani też jego — lecz wyłącznie dotyczących władz.

Jako przykład przytoczył mowca fakt następujący:

Dwaj delegaci Tow. zawiadomili Wydział, że w Szerszeniowicach — pow. borszczowskim — odbyło się 8. lutego 1913 — a więc w porze ochronnej — polowanie na zające. Gdy na dwa zapytania Wydz. Tow., skierowane do borszczowskiego starosty, czy fakt ten jest mu znany, a ewentualnie na podstawie czyjej opinji zezwolenie na polowauie w porze kotnych zajęczyc — nastąpiło, odpowiedź nie nadeszła, — udał się mowca osobiście do referenta spraw łowieckich w Namiestnictwie, radcy Gubatty.

Rezultat tej interwencji: radca ten oświadczył, że sprawa ta została już załatwiona — a mianowicie stwierdzono fakt, iż rzeczywiście 8. lutego ubito w Szerszeniowicach 40 zajęcy za zezwoleniem starosty — atoli bez opinji dotyczącego delegata.

Na pytanie zaś mowcy, dlaczego starosta na dwa pisma G. T. Ł. nie udzielił żadnej odpowiedzi, ani też Namiestnictwo nie raczyło podać do wiadomości powyższego wyniku — radca Gubatta odrzekł, że on nie uważa za właściwe, wskazane i potrzebne na pisma G. T. Ł. udzielać odpowiedzi.

Delegatom i osobom interesesowanym, domagającym sią wiadomości o właściwym stanie rzeczy danej sprawy — „wystarczy“ — powiedział mocarny referent, „oświadczyć ze strony G. T. Ł., że sprawa oparła się o Namiestnictwo i to powinno ich zadowoić“.

Tak się zapatrywał na żywotne kwestje gospodarki łowieckiej ten autokrata, ignorując wyżej powołany reskrypt.

Skutkiem tego przemówienia uchwalono, aby Prezydjum Wydziału odniosło się w tej sprawie wprost do namiestnika, szukając tam ochrony swoich praw.

Następnie uchwalono bez dyskusji absolutorjum Wydziałowi z czynności za okres sprawozdawczy i z rachunków za r. 1912.

Również zatwierdzono preliminarz dochodów i wydatków na rok 1923.

Wybory. Ustępujący z mocy statutu członkowie Wydziału dr. A. Sander i T. Orzechowski wybrani ponownie, a w miejsce dr. Goreckiego wybrano członkiem Wydziału dr. Wł. Sołowija — byłego i bardzo zasłużonego syndyka Tow., który ten mandat złożył. Syndykat obejmuje dr. Gorecki.

Również ponownie wybrani zostali zastępcy członków Wydziału, Wł. Barański i H. Prek.

Wnioski członków. Wiceprezes J. hr. Bielski podaje do wiadomości, że komitet zajmujący się urządzeniem wystawy łowieckiej we Lwowie, postanowił urządzić ją w roku 1914.

Delegat Skrzyński wnosi, aby klub hodowców psów myśliwskich postarał się wejść w kontakt z klubem tresury psów policyjnych we Lwowie, celem urządzania wspólnych prób i wystaw. Psy policyjne mogą wielkie usługi oddać przy tropieniu kłusowników. Wniosek ten uchwalono. Przemówienia zaś del. Ćwierzewicza, Mniszka i dr. Sandera w przedmiocie wadliwości niektórych przepisów w ust. łow. przekazano Wydziałowi do rozpatrzenia.

ZAWODY STRZELECKIE.

Po uzyskaniu od komendy wojskowej zniesienia zakazu strzelania pociskami płaszczykowymi do tarcz ruchomych (dzika i lisa) — dzięki ofiarności członków Tow. a to: Kazimierza i Zdzisława Marmarossa, St. Bromilskiego, Z. Łączyńskiego, J. Drohojowskiego, H. Preka, St. Kiełczewskiego i J. Jabłonowskiego, stanęła osobna strzelnica, specjalnie dla tarcz ruchomych. Używanie pocisków płaszczykowych przyczyniło się w niemałym stopniu do ożywienia zawodów; strzelanie bowiem z precyzyjnej broni małokalibrowej zapewniało zawodnikom lepsze wyniki, niż dotychczasowe z ekspresów.

Wobec tego nastąpiło też powiększenie mety w strzelaniu do tarcz stałych, a to: z 80 kroków do 100, a ze 120 do 150, co pobudziło ambicję zapaśników.

Nagrody pierwsze w strzelaniu kulami zdobyli:
a) pistoletową — Józef Grunwald,
b) na 100 kroków — St. Szancer;
c) „ 150 „ „ „
d) „ 300 „ (z lunetą) H. Prek;
e) do ruchomego dzika — dr. Wł. Burzyński;
f) „ „ lisa – kap. Walczok;
g) „ krążków (rzutków) — kap. St. Żurowski.

O tytuł mistrza a wraz z nim o wędrowną nagrodę (kordelas) walczą H. Prek, dr. Wł. Burzyński, St. Szancer i kap. Żurowski.

Zwycięża H. Prek.

Nagrodę *hors concours* — dar oficerski — przyznano jednomyślnie amazonce naszej, Tomisławowej Jędrzejowiczowej za najlepsze strzały poza nagrodzonymi i za jej stałą wierność sztandarowi św. Huberta.

* * *

C. d. n.



Pierwszy Polski Instytut Łowiecki.

W dniu 30. marca br. został zawiązany w Stanisławowie pod powyższą nazwą, za inicjatywą Pana Wojewody Dr. Aleksandra Morawskiego Instytut, którego zadaniem będzie rozwój łowiectwa w tamt. województwie, a pośrednio także w dalszych okolicach. Przy Instytucie tym, którego cele są bardzo zbliżone do tych, jakie sobie postawiło Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, ma być stworzoną w najbliższym czasie stacja doświadczalna dla rozpoznawania i zwalczania zaraźliwych chorób zwierzyny łownej, a utworzoną też zostanie osobna spółka hodowlana, której celem będzie podniesienie stanu zwierzyny, przez ułatwienie nabywania i sprowadzania żywej zwierzyny rozpłodowej i jaj ptactwa łownego z okolic więcej w zwierzynę zaopatrzonych.

Tuszymy, że ogromnej energji Pana Wojewody i fachowym wiadomościom, popierającego Go w tych usiłowaniach p. inż. Kamockiego z Warszawy, wybitnego znawcy odnośnych stosunków w Państwie, powiedzie się te bardzo na czasie będące i bardzo pożądane zamierzenia do pomyślnych doprowadzić rezultatów.

W przekonaniu tem utwierdza nas też owa ochotna gotowość, z jaką sfery myśliwskie województwa stanisławowskiego odpowiedziały na apel swego Wojewody, jawiąc się na zebranie wstępne bardzo licznie. W zebraniu tem na zaproszenie p. Wojewody wzięła też udział delegacja Wydziału Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z prezesem Juljuszem hr. Bielskim na czele.

Dzielne poczynania Pana Wojewody Morawskiego, który słusznie łowiectwo uznał jako poważną gałąź kultury krajowej, powitać należy z wielką radością, a życzyć polskiemu łowiectwu, by w sferach rządowych znalazło się jak najwięcej naśladowców tak trafnego ujęcia sprawy.

Cele Instytutu wyłuszczone są dokładnie w odezwie Komitetu organizacyjnego, którą poniżej umieszczamy.

Członków naszych i Delegatów, zwłaszcza tych, którzy zamieszkują ziemie województwa stanisławowskiego, wzywamy, by do Instytułu Łowieckiego licznie przystępywali i na naznaczonem na dzień 28. kwietnia b. r. Walnem Zgromadzeniu konstytucyjnem się jawili.

Z Prezydjum
Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

* * *

Powstanie Pierwszego Polskiego Instytutu Łowieckiego.

Wśród wielu bogactw kraju naszego, łowiectwo było najmniej doceniane.

Gospodarkę łowiecką i związane z nią myślistwo uważał ogół za kosztowną zabawkę.

Ustawodawstwo łowieckie wykorzystywano do celów demagogiczno-agitacyjnych.

Poza wysiłkami wielce zasłużonego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego i nielicznej garstki myśliwych hodowców, prawie że nic dla łowiectwa nie robiono.

Statystyki prowadzone przez kraje zachodnie wykazują niezbicie, jak lukratywną może być racjonalnie prowadzona gospodarka łowiecka.

Gdybyśmy mogli wyjść poza szczupłe ramy niniejszej notatki i przytoczyć te miljonowa dochody jakie wykazują nasi sąsiedzi, posądzono by nas o grubą myśliwską łacinę.

Niedowiarków odsyłamy jednak do źródłowych dzieł tej dziedziny, zwłaszcza niemieckich.

Rząd nasz regulując wszystkie dziedziny życia gospodarczego nie zapomniał również o łowiectwie.

Nowo wydana ustawa, może nie pod każdym względem idealna, jest jednak znacznym w tym kierunku postępem.

Inne poczynania miarodajnych czynników państwowych wskazują na to, iż rząd dąży do celowego wykorzystania tego działu bogactw krajowych.

Pan Wojewoda stanisławowski Dr. Morawski zainicjował myśl stworzenia Instytutu Łowieckiego Województwa Stanisławowskiego, którego działalność objęłaby całą Rzeczpospolitą.

Na zaproszenie Pana Wojewody odbył się w Stanisławowie w dniu 30. marca b. r. zjazd szerszego grona myśliwych, hodowców zwierzyny i organizacji myśliwskich.

W zjeździe wzięło udział Prezydjum Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Prezesi Towarzystw Myśliwskich i tuzy naszego łowiectwa jak: pp. Bielski, Prek, Barański i wielu innych.

Zebrani po wysłuchaniu wyczerpującego referatu inż. Kamockiego, doświadczonego hodowcy zwierzyny, uproszonego w tym celu przez Pana Wojewodę, postanowili utworzyć związek pod nazwą: „Pierwszy Polski Instytut Łowiecki“ przy którym powstałaby „Spółka hodowlana“ oparta na zasadach spółek z ograniczoną odpowiedzialnością.

Zadaniem Instytutu jest podniesienie łowiectwa. Cele swe osiągnąć ma Instytut przez:

a) szerzenie kultury łowieckiej drogą specjalnych wydawnictw, odczytów i pokazów oraz artykułów w prasie;

b) urządzanie konkursów, wystaw łowieckich, oraz premjowanie dobrej hodowli, jak również branie udziału w konkursach i wystawach tak krajowych jak i zagranicznych;

c) opiekę fachową nad terenami łowieckimi członków;

d) walkę z chorobami epidemicznemi zwierzyny łownej;

e) prowadzenie ksiąg rodowych psów myśliwskich;

f) szkolenie personelu łowieckiego;

g) organizację polowań a w szczególności parków zarodowych zwierzyny łownej;

h) pośrednictwo przy wymianie, sprzedaży i zakupie zwierzyny łownej;

i) organizację eksportu zwierzy zarodowej i bitej;

j) gromadzenie danych statystycznych i wyników hodowli prowadzonych przez członków, oraz gromadzenie okazów do zbiorów, które mogłyby być zacząkiem przyszłego ogólno-krajowego muzeum łowieckiego.

Poważną troską Instytutu będzie wprowadzenie hodowli zwierzyny futerkowej. Spółki hodowlane pod patronatem Instytutu, subwencjonowane przez rząd, tworzyć będą parki hodowlane zwierzyny łownej na sprzedaż, do rozmnoży i psów myśliwskich.

Dotychczas istniały w kraju dwa lub trzy gospodarstwa prywa.ne, które trudniły się hodowlą zwierzyny łownej dla celów sprzedaży. Zapotrzebowanie żywej zwierzyny było tak wielkie, że gospodarstwa te nie mogły mu podołać, mimo że za jedną żywą zajęczycę płacono do 60 zł.

Sprowadzenie żywej zwierzyny łownej z zagranicy połączone było z dużem ryzykiem. Obecnie kiedy każdy choć trochę dbały o rewir właściciel, każde choć trochę szanujące się Towarzystwo myśliwskie, stara się o odświeżenie krwi przez wpuszczenie zwierzyny żywej, przed Spółką hodowlaną stoi duże pole rozwoju, tem więcej, że nawet po nasyceniu rynku wewnętrznego, co potrwa dziesiątki lat, każda ilość zwierzyny tak żywej jak i bitej znajdzie zbyt zagranicą.

Właściciele średnich nawet obszarów, którzy zdecydują się na założenie w swych majątkach parków hodowlanych zwierzyny łownej, mają widoki uzyskania tak wysokich dochodów, jakich z innych działów uzyskać by nie mogli.

Zaangażowany przez Pana Wojewodę dla Instytutu fachowiec w osobie inż. Kamockiego, będzie z ramienia Instytutu doradcą i organizatorem.

Dla sfinalizowania całej myśli, Komitet organizacyjny wyłoniony z pośród pierwszego Zebrania zwołuje Walne Zgromadzenie, celem uchwalenia statutu, wyboru Zarządu Instytutu oraz Spółki hodowlanej. Zgromadzenie to odbędzie się pod protektoratem J. W. Pana Wojewody Dr. Morawskiego w Stanisławowie w dniu **28. kwietnia 1928 o godz. 2-giej popoł.** w sali posiedzeń Rady miejskiej, ul. Karpińskiego, naprzeciw Województwa (wejście od strony cerkwi).

Do wzięcia udziału w Walnem Zgromadzeniu zaprasza się przedewszystkiem obecnych na Zjeździe w dniu 30. marca b. r. o ponadto osoby i organizacje, majaee zamiar przystąpienia do Instytutu Łowieckiego.

Komitet organizacyjny.



ALBERT MNISZEK.

Z dziedziny broni i amunicji.

I. Proch.

Proch jest tym spiritus movens w ładunku, który przez spalanie się, wyrzuca pocisk z broni, nadaje mu siłę żywą, szybkość i działanie u przeznaczonego pociskowi celu, kresu jego drogi.

Sposób, w jaki proch się zachowuje w komorze nabojowej i w lufie w chwili wybuchu, w jaki też sposób zamienia się w gazy, jest przedewszystkiem wielkiej wagi dla fabrykacji prochu i techniki broni, jest bowiem tym miarodajnym czynnikiem, który stanowi podstawowe normy do wprowadzenia ulepszeń tak w nowych gatunkach prochu, jak i w budowie broni.

Spalanie się prochu powstaje przez rozkład chemiczny części, z których się zasadniczo składa, a więc wodoru, azotu i tlenu i odbywa się przy wysokiej temperaturze w ciągu trudnego już prawie do wymierzenia ułamka sekundy.

Szybkość spalania się prochu w naboju zależy od jego rodzaju, od wielkości i kształtu miejsca, w którem się ten proces odbywa, od rodzaju łuski, od oporu pocisku, wreszcie od sposobu zapału, t. j przyczyny powyżej wymienionego procesu.

Im mniejsze są poszczególne jednostki prochu, i więcej okrągłe, im mniej skupliwe, im więcej proch jest suchy, tem szybciej odbywa się jego przemiana w gazy.

Z miejsca zapału przechodzi płomień do powierzchni słupka prochu od ziarnka do ziarnka. Jednostki spalają się od zewnątrz ku wewnątrz i o ile kształtem są sobie równe, proces spalania się ładunku będzie się też równomiernie odbywać.

Im mniej nabój prochu jest przybity, lub między nabojem prochu a podstawą pocisku lub przybitką jest wolna przestrzeń, tem proces spalania się odbywa się w tempie wolniejszem.

Za pomocą więc zastosowania wielkości i kształtu ziarn prochu można dowolnie szybkość spalania się całości regulować i przez to wywierać wpływ na ciśnienie gazów. Dlatego też mamy gatunki prochu grubo lub cienkoziarniste, o rozmaitych kształtach ziarnek, dających większą lub mniejszą skupliwość. Im cięższą i dłuższą pracę ma proch wykonać, dajemy mu na spalenie się więcej czasu, przeciwnie, przy lżejszej pracy, żądamy od niego szybszego spalenia się. Proch armatni a nawet karabinowy, użyty w broni śrutowej spalałby się tak powoli, że wystrzał nie dałby żadnego rezultatu, przeciwnie proch śrutowy użyty w karabinie, czy w sztucerze myśliwskim nie dałby czasu pociskowi do wkręcenia się w gwinty i spowodowałby niechybnie rozsadzenie broni. Od intenzywności zapału, a więc spłonki zależy też szybkość spalania się prochu; im silniejszym jest zapał, tem proces spalania się naboju postępuje szybciej, przy słabszym natomiast zapale, proces ten odbywa się więcej równomiernie, co w broni kulowej jest bardzo ważnym czynnikiem.

Opór, jaki gazom wybuchowym stawia pocisk, jest bardzo rozmaity. Zależy on od formy, wielkości i wagi pocisku, zależy też od rodzaju broni. Lekko poruszające się pociski kulowe i śrutowe w lufie gładkiej i o dużej średnicy wymagają do swego uruchomienia szybkospalnego prochu (proch śrutowy), gdy pociski kulowe w broni gwintowanej wymagają prochu powoli się spalającego. Przy mniejszych kalibrach rozwija się szybciej ofenzywność wybuchu, gdyż opór pocisku, spowodowany silniejszem tarciem o gwinty, jest większy. Dlatego też broń o mniejszym kalibrze wymaga prochu powolej pracującego, niż broń o kalibrze większym, Dlatego też rozporządzamy rozmaitemi gatunkami prochu stosownie do rodzaju i kalibru broni.

Z tych to przyczyn naboje karabinowe ćwiczebne t. zw. „ślepe“, używane na manewrach, napełniane są specjalnym prochem (w austrjackich nabojach był on białego koloru) bardzo szybko się spalającym, gdyż używany w nich pocisk papierowy nie daje gazom prochowym znaczniejszego oporu. Ten sam proch użyty w naboju ostrym, karabinowym, lub nawet w śrutowym, spowodować musi rozerwanie broni.

Im mniej w chwili zapału proch wystawionym jest na pęd płomienia, tem proces rozkładu jego w gazy jest powolniejszy. Dlatego siła płomienia zapalającego ma wielki wpływ na czas spalania się prochu. Gdy więc z konieczności używany dolny zapał działa od spodu na słup prochu w naboju, nie da się zaprzeczyć, że zapał działający z góry, a więc od warstwy prochu leżącej tuż pod przybitką, względnie pod pociskiem, byłby dla równomierności i całości procesu spalania się go korzystniejszym, gdyż uniknęłoby się spalania resztek prochu jeszcze w lufie, względnie nawet poza lufą, na wolnem powietrzu. Zapał środkowy (w łuskach Teschner'a) byłby także od dolnego korzystniejszym, z powodu jednak trudności technicznych tamte systemy zapałów zarzucono i w użyciu jest tylko zapał dolny.

Zależnie od siły zapału, jak już powiedzieliśmy, może być szybkość spalania się naboju prochu bardzo różną. Zasilny zapał może nawet doprowadzić do gwałtownego rozkładu prochu w gazy, czyli do tak zwanej w języku technicznym *detonacji.*

Detonacja nie jest tem samem, co *eksplozja,* nie jest też tem, co w języku potocznym nazywamy detonacją, a więc określeniem wrażenia działającego na słuch. Eksplozja jest przemianą materjału wybuchowego w gazy, spowodowaną naszą wolą, lub przypadkiem, lecz z powodów znanych i przez nas zrozumiałych. Detonacja jest objawem, zdarzającym się tylko w związku z prochami bezdymnemi i tylko w komorze prochowej łuski nabojowej. Jestto nagłe, momentalne rozłożenie się prochu w gazy przy olbrzymiem ciśnieniu. Detonacja powstaje przez lekkomyślne napełnianie ładunków nieodpowiednim gatunkiem prochu (proch śrutowy w łusce kulowej), przez za silne spłonki, przez nad-

mierne wysuszenie i przybicie prochu i też przez samorozkład prochu. Objaw to coraz rzadszy w dzisiejszej dobie, a jednak przyznać się musi, od czasu do czasu jeszcze się zdarzający i przez nas jeszcze nie opanowany. Efektem detonacji jest rozerwanie komory nabojowej i nasady lufy.

Proces wytwarzania się gazów przy spalaniu się prochu, odbywa się przy bardzo wysokiej temperaturze. Ponieważ każda ciepłota wytwarza pewną równowartościową pracę, liczba jednostek ciepła (kalorji) daje też pewnie ustosunkowaną liczbę jednostek pracy, (m/kg.). W ten sposób daje się siła pędna materjału wybuchowego w przybliżeniu obliczyć.

Ciepłota powstająca przy spalaniu się prochów, przedstawia się w przybliżeniu: przy prochu dymnym 2000° C., przy prochu nitrocelulozowym 2300° C., przy prochu nitroglicerynowym 3300° C.

Widzimy z tego, że proch bezdymny przewyższa proch dymny, jako środek pędny, gdyż wyższa temperatura przy jego spalaniu się, wywołuje też większą siłę żywą pocisku. Dalszemi zaletami jego są: możliwość powolniejszego, a więc więcej równomiernego spalania i prawie całkowita zamiana w gazy. Gdy u prochu dymnego na szybkość i równomierność procesu wybuchowego działać tylko może forma i wielkość pojedyńczych jego ziarn, zmiana zaś jego zasadniczych składników jest wykluczoną, to przeciwnie przy fabrykacji prochu bezdymnego mamy do rozporządzania środki, mogące przyśpieszać, lub przedłużać proces wybuchowy przez zmianę ilości azotu w nitrocelulozie przez zastosowanie większej lub mniejszej ilości nitrogliceryny, kamfory, parafiny i tem podobnych składników. Dzięki tym danym, fabryki prochu bezdymnego mają szerokie pole do popisu w stwarzaniu coraz to nowych i coraz to lepszych jego gatunków w zastosowaniu do rodzajów broni. We Francji doprowadzono nawet do stworzenia gatunków prochu śrutowego, ustosunkowanych do kalibrów śrutowej broni.

Zasadą przy przeprowadzaniu tych udoskonaleń jest uśmierzanie pierwszego najgwałtowniejszego wybuchu, na którym cierpią najwięcej ściany komory nabojowej i przyśpieszanie spalania się prochu w następnych fazach; chodzi więc o stworzenie prochu progresywnego. Tego się dotąd żadnemu fabrykantowi nie udało uzyskać, mimo najrozmaitszych prób w tym celu przedsiębranych. Mamy wprawdzie prochy, tak zwane progresywne, ale działanie ich tej nazwy nie usprawiedliwia. Nie da się jednak zaprzeczyć, że usiłowania te nie są bez znaczenia, że są one na właściwej drodze. która do celu prędzej czy później doprowadzi. Jako jedną z takich prób przytoczę, wyrażoną w zarzuconych nabojach śrutowych „Spiralit". Ładunek prochu w nich stanowił słupek złożony z płatków papieru nasyconego składnikami wybuchowemi coraz to silniejszemi od dołu ku górze. Przekonano się jednak, że zapał przenika te warstwy prawie równocześnie wskutek czego o progresji wybuchowej nie mogło być mowy. Łatwiej w każdym razie skonstruować progresywny ładunek, aniżeli nadać cechę progresji pewnemu jakiemuś gatunkowi prochu.

Przedstawmy sobie teraz efekt pracy naboju prochu w komorze nabojowej w ten sposób, w jakibyśmy go mogli objąć naszą obserwacją, a więc w tempie dla naszych zmysłów uchwytnem. Snop płomienia z uderzonej z zewnątrz spłonki zapala najniższą warstwę prochu znajdującego się w naboju, płomień obejmuje coraz to wyższe warstwy, ale równocześnie powstające gazy wypychają już je w kierunku podstawy pocisku, tak że te zapalają się już będąc w ruchu, wreszcie najwyższe pod podstawą pocisku, względnie przybitką śrutową, zapalają się i zamieniają się w gazy już w lufie w drodze do jej wylotu. Z tych ziarnek powstające gazy, a więc w przestrzeni więcej otwartej, nie są w stanie wytworzyć tak wielkiej siły pędnej, jak gazy powstałe w komorze nabojowej. Gdy się zważy, że gazy wybuchowe działają na wszystkie strony równocześnie i w równej sile, a więc na ściany komory i tarczę baskili lub zamku, to przyjdzie się do wniosku, że ta część gazów, która nie uderzyła odrazu w kierunku lufy, po chwili dopiero uderzy za pierwszą warstwą gazów wypychających już pocisk po linji najsłabszego oporu, będzie więc ona też już siłą drugorzędną. Widzimy stąd, że część znaczna naboju zużywa się z mniejszą korzyścią dla żywej siły pocisku.

Obliczenia przedsiębrane w stacjach doświadczalnych wykazują, że ledwie $1/5$ do $1/3$ pracy prochu idzie na korzyść wyrzucenia pocisku z lufy. Ten fakt uprawnia nas do wniosku, że w kołach łowieckich rozpowszechnione mniemanie, że dłuższa lufa wykorzystuje pracę prochu więcej od krótszej, ma tylko względną słuszność. Różnice te są tak nikłe, że w praktyce myśliwskiej nie odgrywają poważniejszej roli. Dlatego też nowoczesny rusznikarz nie daje lufie tej długości, jakiej potrzebuje do spalenia się w niej całego naboju prochu, lecz po uwzględnieniu koniecznych wymogów balistycznych, taką daje jej długość, jaka nadać może broni zalety lekkości, zgrabności i zrównoważenia.

W ciągu niniejszej pracy powrócimy jeszcze raz do tego interesującego tematu, poświęcając mu więcej miejsca i czasu.

C. d. n.



K. STRZEMIĘ.

Do artykułu „MORITURI“

(Łowiec Nr. 5. z roku 1928.)

Nie mogąc nic mieć przeciw temu, że pan C. C. G. autor artykułu „Morituri“ marzy o wygraniu wielkiego losu; okolicznościowego spotkania z rysiem, w czasie godów jelenich lub pieśni głuszcowej. Życzę Mu tego. Stanowczo jednak sprzeciwić się temu muszę, aby los ten kupiony był z funduszów gospodarki łowieckiej.

Wolno panu C. C. G. zwrócić się imieniem własnem do Ministerstwa rolnictwa o zamknięcie polowania w Karpatach na rysie na lat 2, ale przeciw żądaniu, aby tę propozycję poparła powaga naszego Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, stanowczo muszę się oświadczyć.

Ani na chwilę nie wątpię, że Wydział tego naszego Towarzystwa nie zapomniał o celu założenia Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego, do wypełnienia którego celu idzie drogą prostą, bez żadnych zboczeń, już lat 50. Z drogi tej nie zejdzie, poświęcając swą dotychczasową pracę i zasady racjonalnej gospodarki łowieckiej dla zrobienia przyjemności, kilku, względnie kilkunastu świadkom godów jelenich czy pieśni głuszca.

W pierwszym roczniku „Łowca“ (Nr. 3. z r. 1878) czytamy w artykule „Potrzeba racjonalnego łowiectwa“ — jak następuje:

„Jest rzeczą naturalną, że jedynie zwierzęta pożyteczne i szlachetne godne są uwagi i troskliwości w swym zawodzie wykształconego łowca. Takiemi są żubr, łoś, jeleń, sarna, zając, z ptactwa: głuszec, cietrzew, jarząbek, kuropatwa.

O ile zaś owe zwierzęta chronić i hodować powinien, o tyle z całą usilnością tępić mu należy zwierzęta drapieżne, bez czego starania jego nie mogą być pożądanym uwieńczone skutkiem. Drapieżnikami są: niedźwiedź, wilk, ryś, borsuk, kuna, wydra, żbik, jastrząb (falco palumbarius) i orzeł przedni (aquila fulva).“

Ta zasada była Matką rodzicielką Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego — a w drodze spadku przeszła i jest do dziś przestrzeganą przez Małopolskie Towarzystwo Łowieckie.

Zasadę tę uchwalił i wypowiedział Wydział Gal. Towarzystwa Łowieckiego w czasie, gdy prezesem tegoż Towarzystwa był Włodzimierz hr. Dzieduszycki, wiceprezesem Oswald Bartmański — a w Wydziale zasiadali: Roman hr. Potocki, Stefan hr. Zamoyski, Dr. Ferdynand Krater, Władysław Zontag, Artur hr. Potocki, Dr. Adam Henzel, Dr. Zygmunt Rieger, Edward Weissmann, Dr. Emanuel Roiński, Józef hr. Drohojowski i Karol hr. Mier.

Z zasadą uchwaloną i przestrzeganą przez myśliwych takiej miary, jak wymienieni — będzie się pewnie liczył Wydział Małop. Tow. Łowieckiego więcej, aniżeli z faktem, że kilkunastu husarzy (magnatów, bo tylko ich stać na to) zdobiło swój wojenny rynsztunek w skóry ampartów, czy może rysiów.

Wydział Małop. Tow. Łowieckiego nie zapomni przy ocenianiu sprawy ochrony rysia, o tem, co pisze o rysiu najpoważniejszy dziś znawca kniei, Włodzimierz Korsak, w swem znakomitem dziele „Rok myśliwca“ wydanem w Poznaniu w r. 1922.

Wedle oceny jego, jest ryś najstraszniejszym rozbójnikiem leśnym, nienasyconym tępicielem zwierzyny. Toż, jako taki, winien być bez miłosierdzia wszędzie i zawsze tępiony.

Towarzystwo myśliwskie, którego celem istnienia jest prawidłowa gospodarka łowiecka i podniesienie stanu zwierzyny pożytecznej, nie może czego innego żądać, jak tylko stanowczego i jaknajrychlejszego uwolnienia terenów łowieckich od tej najstraszniejszej plagi od niszczyciela całej pracy myśliwego. Żądanie ochrony rysia godzi w żywotne interesy należycie pojętego gospodarstwa łowieckiego.

Rysi mamy, niestety, jeszcze zawiele. Swoje istnienie znaczą one obficie krwią zwierzyny łownej — zupełnem zniszczeniem gospodarki łowieckiej tych rewirów, w których choćby tylko przez kilka tygodni przebywały.

Niema obawy, aby ryś, ten złodziej i rabuś, którego pan C. C. G. uznał za stosowne nazwać najszlachetniejszym zwierzem, przestał istnieć. Jego zmysł zachowawczy, trudno dostępny teren, w którym przebywa i wrodzony spryt, ochroni go, niestety, od zagłady. Nie zapominajmy, że istnieje Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Nie wkraczajmy, z ogromną szkodą dla łowiectwa, w zakres jej działania. Gdyby ta Rada widziała, że ród rysia zanika — to na pewno zwróciłaby się do Minist. Rolnistwa o ustanowienie pewnej przestrzeni w części Karpat, na utworzenie „rezerwatu“ dla ochrony rysia od zagłady.

Wniosek taki, postawiony przez Wydział Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, zachwiałby u członków tego Towarzystwa wiarę, że służy on nie jednostkom, lecz ogólnym celom podniesienia łowiectwa i przestrzegania wzorowej gospodarki łowieckiej.

Pan C. C. G. pisze, że trzeba koniecznie wyeliminować okrutne żelaza z rewirów.

Zgoda. Do tego jednak nie trzeba już ponownej pomocy Minist. Rolnictwa, bo ustawa łowiecka nie zalicza rysia do tych drapieżników, któreby wolno chwytać na samołowy (art. 50).

Posiadacze rewirów, jeżeli chcą mieć miano myśliwych, mogą i powinni przez utrzymywanie w odpowiedniej ilości — ukwalifikowanej, należycie spełniającej swe zadanie, straży łowieckiej, zapanować nad kłusownictwem. Nietylko przecież ryś, ale i inna, naprawdę szlachetna zwierzyna, ginie wśród mąk w samołówkach nastawianych przez chłopów, Jeżeli więc chłopi kradną bezkarnie zwierzynę, to jest to winą niedozoru, winą posiadaczy terenów łowieckich, nie mających odpowiedniej straży. Żadne pisane rozporządzenia nie zastąpią braku straży, a trudno żądać od organów policji państwowej, aby zajęły się prawie wyłącznie śledzeniem

kłusowników, skoro jest obowiązkiem każdego posiadacza rewiru łowieckiego, mieć własną straż łowiecką.

Kogoż zresztą dotknąłby taki zakaz? Tych, którzy tylko przypadkowo, przed nagonką lub podczas podchodów jeleni czy głuszców przychodzą do strzału do rysia. A takich szczęśliwców jest, jak świadczą protokoły lisowickie, bardzo mało. Nie znam zaś ani myśliwych, ani strzelaczy polujących legalnie, którzyby podejmowali specjalne, zresztą bardzo uciążliwe polowania na rysie. Kłusownicy, nie trzymani żelazną ręką straży łowieckiej, nie będą sobie nic robili ze wszystkich ustaw łowieckich i postanowień karnego kodeksu.

* * *

Wydział M. T. Ł. na odbytem posiedzeniu w dn. 27. marca br. w sprawie ochrony rysia stanął jednomyślnie na stanowisku zupełnie tem samem, jakiemu p. C. C. G. daje wyraz w swym artykule p. t. „Morituri", t. j. że ryś jest zwierzyną szlachetną i przeciw jej wytępieniu w Karpatach energicznie przeciwdziałać należy.

Do zajęcia takiego stanowiska dyktuje Wydziałowi miły obowiązek wpajania łowiectwu małopolskiemu pojęć, jakim hołduje dzisiaj szczytna zasada łowiecka, zachowania dla ojczystej fauny całego jej bogactwa i w ścisłej współpracy z Radą ochrony przyrody zapewnienia prawa bytu wszystkim gatunkom zwierzyny, żyjącym z woli Stwórcy na polskiej ziemi. Wyrazem tej zasady jest nowe polskie prawo łowieckie.

Z bezmyślnem hasłem niemieckiem „Ausrotten" zerwaliśmy na szczęście już dawno, przyszedłszy do przekonania, że niema na ziemi zwierzyny bezwzględnie szkodliwej. Każdemu zwierzęciu wolno żyć i rozmnażać się z obowiązkiem zachowania równowagi w przyrodzie. Ona sama dbała o nią dawniej, dziś pomaga jej w tej pracy człowiek hodowca. Jeżeli w rewirze dziewiczym, zupełnie dzikim, w którym jedna tylko rządziła przyroda, drapieżce przez szereg wieków nie zniszczyły żadnego gatunku zwierzyny łownej, to dzisiaj w rewirze rządzonym przez hodowcę niema obawy, by te drapieżce wyrządzały jej większe szkody; są one raczej czynnikami pomocnemi mu w gospodarce rewiru.

Ryś, szlachetny ten mieszkaniec Karpat jest bezwzględnie szkodnikiem dla zwierzyny łownej, szkody przez niego wyrządzane mogą być jednak łatwo przez hodowcę opanowane.

Niepotrzebnie przypomina Szan. Autor Wydziałowi motywy założenia przed pół wiekiem Gal. Tow. Łow. Idea, która Założycielom przyświecała w w tem wiekopomnem dziele, przyświeca i dzisiejszemu Wydziałowi M. T. Ł. — Cel zawsze ten sam, lecz z ewolucją pojęć łowiectwa zmieniły się sposoby i środki prowadzenia dzieła. Szan. Autor patrzy na sprawę, nie z dzisiejszego punktu widzenia, patrzy nań przez szkła opylone półwiekowym pyłem przeszłości. Ani razu widocznie przez tych lat 50 nie przetarły ich nowe jakieś wrażenia! Cytuje Szan. Autor brzmienie ówczesnych ustaw łowieckich, lecz wątpimy, czy znalazłoby się więcej takich dzisiaj w Polsce, którzyby się zgodzili na wytępienie niedźwiedzia, rysia lub orła! Wyrok śmierci, wydany na tych arystokratów puszcz naszych, byłby nie do pomyślenia.

Zaznaczyć wreszcie musimy, że jeżeli Szan. Autor w podkreślonym przez siebie ustępie raczył ostrzec Wydział M. T. Ł. przed możliwością zachwiania się wiary Członków Towarzystwa w jego lojalność dla sprawy łowiectwa, to Wydział, mając głębokie przeświadczenie, że nigdy nie sprzeniewierzył się swym ideałom, postanowił pójść sam naprzeciw tego niebezpieczeństwa, polecając Redakcji *„Łowca"* zaprosić Myśliwych małopolskich do wypowiedzenia się w powyższej sprawie.

Łamy naszego pisma na ścieżaj dla tej dyskusji otwieramy.

Redakcja.



A. PRZEDRZYMIRSKI

Kalendarz myśliwski na 1928 rok

Pod tym tytułem ukazał się w r. b. bardzo starannie wydany i celowo ułożony kalendarz łowiecki pod redakcją znanego i cenionego łowieckiego pisarza i poety Juljana Ejsmonda.

Zawiera on bardzo dużo cennych wiadomości dla myśliwych i jest do pewnego stopnia vademecum łowieckim, które z prawdziwą przyjemnością i uznaniem się czyta.

Tem bardziej zadziwić muszą pewne sprzeczności w tekście, jak nie mniej niektóre usterki w rubryce comiesięcznej „Życie zwierząt" i w niektórych wypadkach użycie nie zupełnie właściwej terminologji. Ponieważ dzieło takie działa w szerokich warstwach myśliwych „pedagogicznie" i dla swej bezsprzecznej wartości uważanem nieraz będzie, jako źródłowe w rozstrzyganiu niejednej wątpliwości z zakresu łowiectwa, przeto wydaje mi się wskazanem zwrócić tu uwagę na te sprzeczności i usterki w nadziei, że Szanowna Redakcja Ka

lendarza nie weźmie mi za złe poniższych uwag, nie wykraczających poza szranki uprzejmej rzeczowej dyskusji. Przystępuję więc do rzeczy.

W stałej, przy każdym miesiącu kalendarza powtarzającej się rubryce, czytamy:

„*Przez cały rok nie wolno polować* na żubry, bobry, *łosie*, kozice, świstaki, na samice i cielęta łosia, jelenia, daniela, na sarny, kozy i koźlęta, na niedźwiedzice od niedźwiedziątek, na *wiewiórki*, na głuszce kury, bażanty kury, na czarne bociany i na cietrzewie kury z wyjątkiem województw wileńskiego, Nowogrodkiego, Białostockiego, Poleskiego i Wołyńskiego oraz *na dropie*.“

Z tej ostatniej rubryki wynikałoby, że na łosie, wiewiórki i dropie wogóle polować nie wolno i że te rodzaje zwierząt cieszą się stałym czasem ochronnym.

Tymczasem w „Prawie łowieckiem“ względnie w Rozp. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3. grudnia 1927 r. czytamy w artykule 49-tym:

„*Zabrania się polować*

na łosie byki od 15. grudnia do 31. sierpnia;
na wiewiórki od 1. marca do 31. października;
na dropie od 1. lutego do 15. sierpnia.“

„Ergo polować *wolno*

na łosie byki od 1. września do 14. grudnia włącznie;
na wiewiórki od 1. marca do 31. października;
na dropie od 16. sierpnia do 31. stycznia.“

Tę sprzeczność między twierdzeniem kalendarza a art. 49-tym Rozp. z d. 3. XII. 1927 *należałoby definitywnie wyjaśnić*.

Przechodzę do drugiej sprawy, a mianowicie do również stałej miesięcznej rubryki zatytułowanej „Życie zwierząt“. W rubryce tej zajmującej się przejawami życia zwierząt łownych i zachodzącemi u nich objawami fizjologicznemi w danym miesiącu — czytam:

„Styczeń. *Młode* jelenie tracą wieńce.
Kwiecień. Rogi *młodych* kozłów już są wytarte.
Listopad. *Stare* byki (jeniele) zaczynają tracić wieńce.
Grudzień. *Młode* kozły zrzucają parostki.
„ Jelenie *średnie* tracą wieńce.“

Z żadnem z powyższych twierdzeń „Kalendarza“ zgodzić się nie mogę i przypuszczam, że wkradły się one tam z powodu niedokładnej korekty lub innych od autora niezależnych okoliczności.

Jak ogólnie wiadomo, starsze jelenie i kozły wyprzedzają młodsze, tak co do czasu rozpoczęcia rykowiska czy rui, jakoteż co do terminu wykształcenia, względnie zrzucania rogów.

Im starszy jeleń, czy rogacz (z zastrzeżeniem, że jest zupełnie zdrów i w pełni sił) tem wcześniej zaczyna rykowisko czy ruję, tem wcześniej wykształca, obciera i zrzuca rogi.

Dojrzały, zdrowy, kapitalny jeleń ma już zupełnie wykształcone i wytarte rogi z końcem lipca, a najpóźniej w pierwszych dniach sierpnia — a zrzuca je rzadziej w lutym, a z reguły w marcu.

Jelenie młodsze kończą toaletę swych wieńców z końcem sierpnia do połowy września, a noszą je nieraz jeszcze w kwietniu.

Szpiczaki a nawet szóstaki widuje się nieraz z rogami *w scypule* nawet w czasie *rykowiska*, odpowiednio też do tego zrzucają je nieporównanie później od jeleni starszych. A co do szpiczaków, wiadomo, że pozbywają się poraz pierwszy rogów dopiero z ukończonym drugim rokiem życia, a więc mniej więcej w czerwcu i lipcu danego roku.

Stare kozły posiadają gotowe i wytarte zupełnie już rożki w kwietniu, a nawet i z końcem marca, młodsze obcierają je później, a najmłodsze noszą nieraz jeszcze w maju i czerwcu scypuł na rożkach. *Wszystkie* zrzucają rożki z reguły w październiku. A te, które się później widuje z rożkami, zawdzięczają to najczęściej jakmś organicznym niedomaganiom. Wyjątek stanowią męskie cielęta sarnie t. zw. „kice“, które noszą malutkie guzikowate, rogowe wyrostki całą zimę i tracą je dopiero po ukończeniu roku życia, by je zastąpić wtedy odznakami szpiczaka.

Wreszcie co do terminu huczki dzików z Kalendarzem zgodzić się nie mogę. Trwa ona od połowy listopada, najwyżej do końca grudnia. Młode samiczki odprawiają wyjątkowo, czasem tylko jeszcze w pierwszych dniach stycznia swe gody weselne. Kalendarz tymczasem w rubryce listopadowej huczkę pomija, w rubrykach zaś grudniowej i styczniowej określa jej termin na 4-6 tygodni, w rubryce wreszcie z lutego oznacza termin huczki do 15. tegoż miesiąca. Należałoby w przyszłorocznem wydaniu i ten anachronizm sprostować.

Jeszcze kilka słów co do słownictwa łowieckiego, użytego w kalendarzu.

Na wszystkie manifestacje występujące u zwierząt łownych w chwili budzenia się u nich popędu płciowego, mamy stare, utarte terminy — i tak:

u łosi nazywa się to Bekowiskiem
u jeleni „ „ „ Rykowiskiem
u sarn „ „ „ Rują
u dzików „ „ „ Huczką lub lochaniem
u zajęcy „ „ „ Parkotnią

A u wszystkich innych, jak lisów, rysiów, żbików, kun etc. cieczka.

Tymczasem „Kalendarz“ każe wilkom, rysiom, żbikom, wydrom, kunom odprawiać r u j ę, co nie jest zgodne z tradycjami dawnego naszego słownictwa łowieckiego.

Gdy już zaczepiłem o terminologję łowiecką, poruszę jeszcze jedną sprawę, która mnie boli nie od dzisiaj. Tak samo „Kalendarz“ jak i nasz „Łowiec“ małopolski, omawiając ozdobę łba pojedyńczego jelenia, używa nieraz określenia „wieńce“ będącego liczbą mnogą słowa wieniec. Mojem zdaniem, ażeby mówić o wieńcach, omawiać trzeba n. p. porównywać ze sobą przynajmniej dwie pary rogów jelenich. Jeleń w liczbie pojedyńczej posiada tylko wieniec, szczęśliwie wybrany termin na określenie formy rogów jelenich, posiadających b. często rzeczywistą lub przynajmniej zbliżoną postać wieńca.

W naszem kwiatowem zdobnictwie znamy pojęcie „wianka“ i „wieńca“. Wianek wyobrażamy sobie jako zamkniętą okrągłą obręcz. Uroczystszy i poważniejszy wieniec, jako ozdobę złożoną z dwóch połów nie stykających się najczęściej górą. Pomimo, że wieniec złożony jest zwykle z tych dwóch połówek, nie używamy liczby mnogiej, mówiąc o nim, dlaczegoż używać tej liczby, mówiąc o pojedyńczej parze rogów jełenich.

Tyle moich najżyczliwszych uwag nad „Kalendarzem“. Wypowiadam je w nadziei, że Szanowna jego Redakcja nie weźmie mi za złe tej rzeczowej krytyki i nie zrazi się do dalszej pracy dla naszego ukochanego łowiectwa.



ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

(Wschodnio-środkowa Afryka)

I.

Antylopa „Mbawala“ a lampart.

Ciąg dalszy.

Jest jeszcze jeden — może nawet lepszy sposób zdobycia skóry lamparciej, ale ze względu na niebezpieczeństwo dla operującego nim, rzadko przez białych stosowany. Jest to zastawianie tzw. samopałów. Używają tego sposobu tubylcy, którzy nie mając wielkiej chęci narażania własnej skóry w spotkaniu się z tym drapieżcem z bronią w ręku, wolą, aby ta broń działała sama, bez ich bezpośredniego współuczestnictwa.

Wielkie moździeże (stępy) zbożowe służą do tego celu. W przewiercone dno osadza się mocno lufę broni palnej w ten sposób, żeby wylot jej znalazł się wewnątrz przy samem dnie moździerza. Następnie tą samą drogą przeciąga się sznur, uwiązany do cyngla, a przeprowadzony przez kółko w kolbie, do którego to sznura uwiązuje się przynętę — np. kawał mięsa. Przynęta musi się znaleźć tuż przy wylocie lufy, a sznur oczywiście naprężony, ale o tyle tylko, aby starczyło go jeszcze na naciągnięcie kurka. Naturalnie broń winna być już poprzednio nabita (zazwyczaj grubemi siekańcami), a moździerz w pozycji leżącej kołami do ziemi przymocowany — poczem naciąga się kurek. Drapieżca, gdy chce dostać się do przynęty, musi ustawić się tak, że

JAN NARKIEWICZ JODKO.

3

Bielak na Podolu.

(Opowiadanie starego Kresowca).

(Ciąg dalszy)

Biesiadnicy przeważnie młodzi, kuchnia wyborna, wina wyśmienite. Pan domu niesłychanie gościnny i uprzejmy, nic przeto dziwnego, iż nastrój towarzystwa szczerze był wesoły i nieco podniecony. Przyczyniła się do tego nie mało wyborna kapela Herszka, która równej sobie na Kresach nie miała. Tak ją lubiła młodzież podolska, iż częstokroć do Kijowa i Odessy na śluby, lub na bale ją sprowadzała. I nigdy się nie powstydził Herszko płoskirowski wobec wielko-miastowych kapeli.

A gdy do mazura stawali: Alfred Żurowski, ten ulubieniec Podola, dwaj bracia Stadniccy i sławny jeździec Tadeusz Dachowski, Herszko się przeistaczał, oczy jego iskrami sypały, cały zdawał się być w powietrzu, jego żydkowie, jakby elektrycznością dotknięci, cudów dokazywali. Było co posłuchać, było na co patrzeć. Dużo widziałem tańców, dużo kapeli słuchałem, włócząc się za młodu po rozmaitych krańcach świata, ale ten mazur zaćmił wszystkie inne wspomnienia i do grobowej deski w pamięci mi pozostanie.

Ale wracajmy do naszej wesołej biesiady. Z pewnym niepokojem no i zażenowaniem coraz częściej słyszałem dolatujące mnie słowa: „bielak: biały zając“, coraz więcej biesiadników widziało go przemykającego się przez knieję przed zaczęciem nagonki.

Młody gospodarz przypatrywał mi się filuternie, jego oczy zdawały się mówić: „No jak z tego wybrniesz?“ W tem pod oknami sali zagrzmiały trąby, kilkadziesiąt smolnych kagańców oświeciło dziedziniec i ujrzeliśmy wspaniały rozkład kunsztownie ustawiony, w pośrodku którego na wysokiej żerdzi, wyciągnięty jakby do skoku, królował mój nieszczęsny bielak. „A bodajbyś nigdy poza puszcze litewskie nie wyjrzał“. Cofać się wszakże było za późno, porwałem kielich szampańskiego i gdy ucichły trąby i rogi „Panowie“ — rzekłem — „drodzy przyjaciele i sąsiedzi! Pozwólcie, bym w kilku słowach Wam powtórzył wrażenia, jakich przed paru dniami doznawałem na Litwie. Błądziłem ze strzelbą nad brzegami Świtezi. Księżyc w pełni oświetlał olbrzymią taflę lustrzaną. Marzyłem o pięknym młodzianie,

przód ciała, a przedewszystkiem głowę ma wystawioną na zabójczy strzał i czy pochwyci przynętę zębami czy też łapą, ładunek ołowiu go nie minie.

Takim sposobem tępią tu murzyni najwięcej lampartów. Większa część skór, jakieśmy od nich w kilku latach nabyli, pochodziły z takiego połowu. Nie są one tak cenione jak inne, zdobyte strzałem myśliwego, bo mają zazwyczaj rozerwaną głowę i do wypychania się nie nadają, ale za to futro nienaruszone, do czego murzyni przywiązują większą wagę, używając je często za okrycie.

Za moich czasów płacono na wybrzeżu za dobrze zachowaną skórę lamparcią (z czaszką i pazurami) od 12 do 15 rupji,*) za gorsze od 6 do 8 rp.

* * *

W r. 1890 przygotowując się do mojej drugiej wyprawy na słonie, bawiłem w Szamu dłużej niż zazwyczaj. Złożyły się na to rozmaite okoliczności, ale w pierwszym rzędzie wyprawa majora Serpa-Pinty przeciw Makololom i wynikłego stąd zatargu portugalsko-angielskiego. Byłem zmuszony do odłożenia mego wyjazdu nad górną Szerę do czasu, aż walki na terytorjach, przez które musiałem przejeżdżać — ustaną.

Wykorzystując czas, który zapowiadał już porę suchą i umożliwiał dalsze wycieczki, całe dnie spędzałem poza domem. Czasem sam, czasem w towarzystwie Kafrów włóczyłem się po okolicznych górach, strzelając okazy mniejszych ssaków, łapiąc drobniejsze płazy, a przedewszystkiem zbierając owady dla uzupełnienia i odnowienia zbioru mego, który w czasie deszczów znacznie od wilgoci ucierpiał. Z torbą pełną pudełek, eprewetek i słoików i niezgrabną, ciężką siatką — wyglądałem raczej (naturalnie, gdy ją sam niosłem) na zapalonego zbieracza osobliwości, aniżeli na myśliwego. O ile jednak cel tych wycieczek był z reguły kolekcjonerski, to myślistwo, gdy przyszła sposobność, brało górę, instrumenty owadobójcze szły na bok, a karabinek zabierał ich miejsce.

I zdarzyło się, że jednego dnia po „lunchu“ **) — a więc w samo prawie południe — wybrałem się w samotrzeć na połów motyli. Celem moim było bagienko, o którem już wspomniałem, nie dalej, jak trzysta kroków od domu oddalone. Tam na miejscach na pół wyschniętych, właśnie w porze najgorętszej, kręciło się mnóstwo motyli. Płowe trawiska, na oko już całkiem suche, przypomniały mi, że czas ich palenia wnet nadejdzie (a było to ku końcowi maja) i że należałoby je powypalać od strony naszego obejścia, a tem samem zabezpieczyć się od ewentualnego większego pożaru, któryby mógł nas zaskoczyć niespodzianie w czasie wichury.

Z tą myślą, — zaraz za płotem, gdzie pewna przestrzeń była już z ostrożności dawniej odczyszczona, przykucnąłem — i wyjąwszy zapałki, jąłem podpalać tu i tam. Niestety, nie szło. Wiatru nie było, a źdźbła zawierały jeszcze dużo wilgoci; za dużo, aby przy słabym powiewie spowodować większy płomień.

Znalazłszy się w pobliżu bagienka, gdzie trawiska legły więcej zbite i do ziemi przytłoczone, próbowałem znowu niecić ogień. Zabierając się do rzeczy, torbę i karabinek złożyłem na ziemi, a przykucnąwszy, podpaliłem zarośla w kilku miejscach naraz. Błysnął płomień tu,

*) Rupja (nid.) — mniej więcej 2 zł w złocie.

**) Lunch (ang.) — drugie śniadanie.

---

o cudnej dziewczynie. W tem z głębi lasu wypada i wprost na mnie biegnie biały zając, zjawisko mi nie znane. Zmierzam się do niego a on prysknąwszy szyderczym śmiechem, staje na zadnich skokach i rzuciwszy mi „do widzenia za parę dni na Podolu“ wskakuje do porębli i ginie mi z oczu“. Kochani biesiadnicy homerycznym śmiechem bajeczkę mą przyjęli. Nikt się nie obraził, a Herszko, przyskoczywszy do kapeli zaintonował wesoło a za nim rozochoceni żydkowie. „Nasz Pan Jodko dobry Pan i t. d.“ Bębny i basetle wtórowały ochoczo, zrobiło się szumno i gwarno a mój Pawełek we drzwiach stojący pokładał się od śmiechu.

Oj wesołoż to było na tych naszych Kresach ukochanych.

Nastały lata zamętu światowego, lata krwi i pożogi. Gdzieżeście moi towarzysze mili, wśród których szczęśliwą młodość spędziłem. Wielu z was padło od kuli i noża, wielu zginęło męczeńską śmiercią z rąk rozbestwionych od północy przybywających bandytów. Szczęśliwi, którzy dopadli granic polskich i chociaż z mienia wyzuci, salwowali życie. Rozsiani po całym obszarze Rzeczypospolitej, kresowcy nasi karku nie zgjęli. Wzięli się do pracy, cudzych kątów nie wycierają, pomocy nie żebrzą, a jeśli którzy znaleźli przytułek u zamożnych po tej stronie krewnych, pracą i pieczą nad mieniem starają się za gościnę odwdzięczyć.

A wszyscy wierzą, iż jeśli nie oni sami, to ich synowie lub wnukowie powrócą tam na rubieże i chociaż w odmiennych warunkach służyć będą Matce-Ojczyźnie, osłaniając ją, jak niegdyś od inkursji barbarzyńców.

Może drodzy czytelnicy, jeśli ich wszystkich nie posiałem po drodze, zechcą mnie zapytać co się stało z bohaterami mego opowiadania o „bielaku na Podolu“?

Karolka Kosielskiego odwiedzałem jeszcze dwa razy.

Gdyśmy z własnego dworu zostali niemal wyciśnieni przez wojska rosyjskie następujące na Austrję i Niemcy, gdy sztaby świetnych pułków gwardji, Ismailowcy, Siemionowscy, Preobrażeńcy, Pawłowcy, kozacy cesarza i cesarzowej, dzika dywizja i t. d. i t. d. jedne po drugich, a częstokroć jednocześnie zaczęły nas nawiedzać, zajmując dwór, oficyny, kuchnie, stajnie i wszelkie ubikacje; życie stawało się nad wyraz wszelki uciążliwem. (Dok. nast.)

błysnął tam, trawy trzeszczą i pryskają — ale ogień nie postępuje — i gaśnie po chwili.

Już miałem powstać, aby pójść dalej, gdy jakieś poruszenie trawami tuż obok, przykuło mię do miejsca. Ciemna, krągła głowa i dwoje małych uszu wyglądnęły z pośród traw.

Nie zdawałem sobie nawet sprawy coby to był za zwierz. C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Wędrówki ptaków

i ich życie rodzinne

Ciąg dalszy.

Mówiąc o przelotach, muszę wspomnieć o ich wysokości i szybkości, jakiego dosięgają niektóre ptaki. Obserwacje Humboldta, Brehma Diksona i Blanki, jak i innych badaczy, godzą się z spostrzeżeniami niemca dr. Gätke, robionemi przez tego niezmordowanego badacza w ciągu lat 50-ciu na wyspie Helgolandzie. Określa on wysokość lotu ptaków niektórych na 15 tysięcy stóp ponad powierzchnię morza. Francuz Ricco obserwował lot sznura żórawi nad Paryżem na wysokości 5 km tj. już w sferze półrozrzadzonego powietrza. Widywałem na naszych stepach w Chersońskiej i Taurydzkiej gub. lot sępów na żerowiska corocznie tam z Krymu, Kaukazu i Karpat przylatujący całemi setkami (vultur monachus i gyps fulvus). Wabiły ich tysiączne stada owiec, tabuny koni i stada bydła, wypasające się na soczystych pastwiskach; padliny nigdy nie brakło, a ci skrzydlaci grabarze oddawali pożyteczne usługi, oczyszczając powietrze z woni zaraźliwej. O porannej porze zjawiały się na tak znacznej wysokości, iż gołem okiem dojrzeć było ich niemożebnem, a przez szkła zaledwie widniały, jak maleńkie punkciki na modrym firmamencie zawieszone.

Ten wysoki lot ptaków objaśniają dwojako: raz w rozrzedzonem powietrzu ptak mniej zużywa sił na jego prucie, a powtóre z tych wyżyn lepiej mu orjentować się w szerokich przestrzeniach. Ogólnie rzecz jednak biorąc, większość ptaków szybuje na znacznie niższej wysokości, jednak zawsze powyżej gór, wieżyc i wierzchołków drzew. O ile sęp, orzeł buja i wznosi się wysoko, o tyle nigdy nie widziałem sokoła, raroga, małych jastrzębi przelatujących w swych wędrówkach.

Co do bystrości przelotu w ich wędrówkach wiosennych lub jesiennych, jest ona bardzo względną i różną. Göthe określa lot gołębia na 80 km na godzinę, jaskółki na 100, sokoła na 200 km. Lot pustynnika Gobijskiego (syrhaptes paradoxus i pteracles alchata) według wskazań podróżników azjatyckich, jak prof. Gremberweiga Przewalskiego, przewyższa lot sokoli, a ciężki, 45 funtowy drop przelata w godzinę 200 km, robiąc jednem uderzeniem skrzydeł sążniowe posunięcia w powietrzu.

W locie ptaków wiatr odgrywa ważną rolę. Jako najwięcej sprzyjający dla lotu jest wiatr boczny, czem też według spostrzeżeń, ptaki najchętniej się posługują. Formowanie się ostrych trójkątów kluczy żórawich, gęsich, pelikanów, łabędzi i bardzo często kaczek, ma wielkie znaczenie w ich locie, zużywa mniej ich wysiłku w przerzynaniu powietrza i nie tak je męczy.

Dlatego też przewodnik stada, czy klucza, spełniający najtrudniejszą w locie rolę, zmienia się często, ustępuje swe miejsce za nim lecącemu, ten zaś następnemu kolejno. Klucz zamykają słabe, młode osobniki. W razie niezgody i niepilnowania kolejności, stado raptownie zbija się w kupę, mięsza — i przypadkowy osobnik staje na jego czele i prowadzi stado za sobą.

Lecz nietylko skrzydła służą ptakom jako lokomocja w ich wędrówkach. Nur, łyska, wodna kurka, chętnie szukają dróg wodnych i przepływają znaczne przestrzenie do swych miejsc rodzinnych.

Wszystko, co dotąd dały nam badania, jest jeszcze dalekiem do zupełnego wyjaśnienia rzeczywiści i prawdy o wędrówkach i przelotach ptaków, mówi nam Gätke i mało jest życia jednego człowieka na rozwiązanie i zrozumienie tych głębokich tajemnic ptasiego życia.

C. d. n.

Oficerska bibljoteka myśliwska w Przemyślu.

Oficerskie Kasyno garnizonowe w Przemyślu posiadało już od dłuższego czasu bibljotekę beletrystyczną. Właściwy rozwój bibljoteki datuje się dopiero od chwili, kiedy kierownictwo jej objął zamieszkały w Przemyślu p. Józef Władysław Kobylański, kapitan w tamtejszem D. O. K. W ciągu trzech lat ostatnich doprowadził on do tego, że księgozbiór, liczący pierwotnie 400 tomów, posiada obecnie pokaźną ilość 4497 dzieł należycie dobranych i należycie oprawionych, w tem prócz polskich, cały szereg książek niemieckich i francuskich. Bibljoteka ta, otwarta 2 razy w tygodniu, cieszy się w Przemyślu nadzwyczajnem powodzeniem. I tak w r. 1927. korzystało z niej 15.126 osób, zarówno ze sfer wojskowych, jak i cywilnych, mających prawo korzystania z niej za opłatą 1 zł. miesięcznie. Ale p. Kobylański, zaszczytnie znany myśliwy-autor i myśliwy-bibljofil, nie poprzestał na tem. W ramach bibljoteki oficerskiej stworzył on mianowicie specjalną bibljotekę myśliwską, obejmującą już 88 dzieł, wśród których widnieje Wodzicki, Kurowski, Siemieński, Ubysz, Weyssenhoff, Dygasiński, Machczyński, Starzeński, Ejsmond, Korsak i w. i. Jestto, jak dotąd, wypadek jedyny w swoim rodzaju. Jak wielkie znaczenie może mieć taka instytucja pod względem dydaktycznym i propagandowym, nie potrzeba udowadniać. Dlategoż wszyscy, którym leży na sercu rozwój naszego łowiectwa, jako gałęzi gospodarstwa krajowego, muszą szlachetnej inicjatywie jednego z naszych najgorliwszych pionierów gorąco przyklasnąć i życzyć mu, aby znalazł jak najliczniejszych naśladowców.

W. Z.

Korespondencje

Przystań, w marcu 1928.

Jako delegat na powiat żółkiewski, korzystając z tej arcyniemiłej długotrwałej zimy, a tem samem rozporządzając wolniejszym czasem, piszę słów parę co do stanu zwierzyny oraz rezultatu polowania w lasach Butyny i Przystań, majątku, którym zarządzam.

Po wyniszczeniu formalnem ogółu zwierzyny i kuropatw podczas inwazji 1914-15 oraz w r. 1918-19 przez żołnierzy ukraińskich, nareszcie przyszliśmy do pierwotego przedwojennego stanu sarn, niemniej i kuropatw, które nie strzelane aż dopiero w sezonie 1927, i to bardzo skromnie, rozmnożyły się tak, że już w promieniu kilometrowym spotykało się 8-10 stadek po 15 do 20 sztuk.

Zajęcy, jak zwykle w głębokich i po części podmokłych lasach, dla kwaśnej paszy, mało, a supponując z tegorocznej zimy, przy silnym mrozie z marcowym wiatrem, marczaki wyginęły, co skonstatowałem, znalazłszy 2 zamarzłe zajączki na oziminie.

Stan cietrzewi, jak przed wojną, bardzo ładny, jakkolwiek z czasem podrostu kultury lasowej, swoje słynne butyńskie toki przeniosły o 3 kilometry od lasu na rozległe łąki, przecięte uregulowaną rzeczką „Błotnią dopływem rzeki Raty. Toki te rozpoczynają się zawsze wcześnie na wiosnę i jak wspomniałem sa wspaniałe, bo np. przy jednej budce tokuje zwykle kilka, kilkanaście a nawet do 30 kogutów.

Dziki jak zwykle przechodnie, zatrzymują się tylko w zimie, podczas obrodzenia żołędzi — jakkolwiek maciory w głębokich, gęstych i niedostępnych kulturach rodzą tutaj i wczesną jesienią wyprowadzają swoje młode na przyległe pola, robiąc porządne spustoszenia. Zato w sąsiednich lasach, graniczących z Butynami, w Chlewczanach własności p. Łępkowskiego są stałe, bo też intensywnie karmione koniną, kartoflami pieczonemi i kukurudzą. Mimo to na kilkurazowem polowaniu nie dały rozkładu jużto dla wielkiego wiatru, który pp. myśliwym kule z ekspresów odnosił od celu, jużto dla swego dziczego szczęścia zawsze wycofały się w czas przed obstawą miotu. W lasach Butyńskich odbyło się z końcem stycznia polowanie w 8 strzelb i na rozkładzie było 10 rogaczy, 29 zajęcy i 3 lisy. Jak wyżej wspomniałem, zajęcy mało, za to stan sarn wspaniały i gdyby rzeczywiście rozchodziło się o ilość zabicia, to z pewnością byłoby padło do 40 rogaczy, bo my domowi nie strzelaliśmy ich zupełnie.

Późną jesienią, gdy już nastawały przymrozki, syn mój, technik, wybrał się czółnem na kaczki (których tutaj w łęgu, poprzerzynanym strugami i odnogami rzeki Raty z szeroko rozlanemi wodami jest mnóstwo) osiągnął niebywały może rekord, bo zamiast kaczek, na jeden strzał ustrzelił trzy (3) wydry, wygrzewające się w kupce na dziurawym pniaku starej olchy. Dowiedziawszy się o tem miejscowy leśniczy, pałając zazdrością, wybrał się na drugi dzień do dnia na wydry w nadziei, że on będzie mieć takie szczęście (bo za skórkę wydry płacono po 15 dolarów), lecz w tym kierunku szczęście go ominęło, ale boska Diana, że to mężczyzna na schwał, skierowała celnie jego dwururkę do podrywającego ogromnego stada kaczek tak, że na 2 strzały podjął nie wiele, bo tylko 20 sztuk różnego gatunku — wracając przez pastwisko do następnego rewiru i strzeliwszy 2 razy do klucza ciągnących gęsi, podjął 3 sztuki — dojechawszy zaś do rewiru, na doniesienie gajowego, że duży dzik „co ino" przeszedł do kultury, stanął na przesmyku. posłał gajowego w trop doskonale widoczny po świeżo spadłym deszczu i celnym strzałem na komorę kulą z gładkiej lufy na 52 kroki powalił ładnego wycinka. Rzeczywiście przyznać trzeba, że ci dwaj młodzieńcy mieli niebywałe, szalone szczęście, co niestety nie każdemu i nie tak często zdarzyć się może.

Co do lisów, to tych nie brak tutaj, i jakkolwiek od paru lat parchy u lisów zaginęły, to jednak gajowy chowając się przed zawieją śnieżną do budy na zrębie, zastał skulonego lisa zupełnie oblazłego z maleńkim tylko pendzlem włosów na końcu chrząstki ogonowej, zupełnie nie reagującego na wejście gajowego. Rozumie się, że celnem uderzeniem pałką w łeb pozbawił go parszywego życia i w obecności leśniczego spalił go zaraz.

Kłusownictwo i wnykarstwo w lasach tutejszych jakkolwiek sporadyczne, tępi się bez wytchnienia. — Odebrano tej zimy 1 pojedynkę. 1 dubeltówkę oraz 3 karabiny a sprawę oddano do Sądu i Starostwa za co zostali przykładnie ukarani, bo np. jeden z nich spotkany ze strzelbą i zającem, dostał cztery miesiące więzienia. *Władysław Radzikowski.*

Gródek Jagielloński w marcu 1928.

Szanowna Redakcjo!

Upraszam o łaskawą odpowiedź na następujące pytania:

1. Czy urządzenie polowania na dziki z nagonką w ostatnich dniach marca nie koliduje z etyką myśliwską?

2. Czy ubicie lochy z końcem marca jest ze względu na gospodarkę łowiecką i ochronę przyrody dopuszczalne?

3. Czy obydwa wyżej fakty nie zasługują ze względu na etykę myśliwską na napiętnowanie?

Z poważaniem *H. M.*

* * *

Polowania na dziki w drugiej połowie marca uważalibyśmy za usprawiedliwione tylko w tym wypadku, o ile w danej okolicy byłoby ich bardzo wiele i swoją liczbą zagrażałyby ziemiopłodom. Byłaby to więc tylko dla myśliwego bardzo przykra konieczność.

Strzelanie loch prośnych w ostatnich tygodniach ciąży jest nieludzkie, wstrętne i niezgodne tak z etyką, gospodarką łowiecką, jak i z prawami ochrony przyrody i zasługuje na napiętnowanie. *Red.*

Załuż, w marcu 1928.

Po zakończeniu sezonu pośpieszam donieść o wynikach polowań w powiecie sanockim, oraz o tutejszych stosunkach łowieckich.

Na kilku polowaniach odbytych w sezonie mogłem skonstatować poprawę stanu zwierzyny w tych rewirach, w których właścicielom rzeczywiście na tem zależy i dbają o tę poprawę.

Niestety, ci są nieliczni, a większość nic w tym względzie nie robi, wychodząc z założenia, że zwierzyna powinna sama się rozmnażać i dostarczać potem jak najwięcej emocji myśliwskich oraz mięsa dla kuchni i handlu.

Mieliśmy tu wypadki zabicia jelenia w czasie ochronnym przez strażnika łowieckiego w rewirze nie mającym 1000 ha i to przed psami, za co, jak słyszałem, strażnik dostał jeszcze premję pieniężną od właściciela.

Dawniej bywało w tych stronach dużo dzików, lecz wyniszczono je prawie doszczętnie a niedobitki tępi się dalej, polując o każdej porze roku, i teraz już kilka dni temu zabito 4 sztuki w jednym rewirze *sic fama fert* przy czynnym udziale jednego z d e l e g a t ó w M. T. Ł.

Wszystkie tego rodzaju fakty nie wpływają na poprawę stanu zwierzyny i nieraz ręce opadają sąsiadom, ktròrzyby jednak chcieli u siebie do czegoś lepszego doprowadzić.

Z lepszych faktów mam do zanotowania wspomnianą na początku poprawę u tych, którzy na prawdę do tego dążą; żywotna działalność Sanockiego Tow. Łow., które przejęło dużą ilość rewirów z rąk niepowołanych i które pracuje rzeczywiście nad poprawą stanu zwierzyny; żywą akcję tutejszego Starostwa, którego referent łowiecki dr. Proń prowadzi energiczną i skuteczną walkę z kłusownictwem i pracuje wytrwale nad poprawą stosunków łowieckich.

Gdyby ogół myśliwych i właścicieli terenów łowieckich zechciał trochę popracować nad poprawą stanu zwierzyny, mogliby doprowadzić do bardzo ładnych rezultatów.

Najładniejszy stan zwierzyny ma Besko, gdzie każdy dzień polowania daje przeciętnie po 40 zajęcy. W Załużu padło na jednodniowem polowaniu 4 dziki — do drobnej zwierzyny ze względu na dziki nie strzelano.

Oprócz tego było kilka polowań z bardzo marnemi wynikami.

Kończę moją niewesołą korespondencję apelem do kolegów z pod znaku św. Huberta i sąsiadów z tutejszego okręgu, aby jedni zechcieli zająć się choć trochę tą biedną zwierzyną, a drudzy aby bodaj spiżarnie swoje więcej u rzeźników a mniej w lesie zaopatrywali, a wówczas, przekonany jestem, że nasze lasy i pola zaroją się od sarn i zajęcy. *Paweł Wiktor.*

Rudnik n. S., w marcu 1928.

W dniu 29. marca widziałem i zabiłem pierwszą w tym roku słonkę. Była to jedyna słonka, która tego wieczora przeciągła.

Jak na tutejszą okolicę, ubogą w drobną zwierzynę, widać sporo parek kuropatw, znacznie więcej niż w r. zeszłym. Także dosyć dużo młodych zajęcy, mimo, że kilka sztuk zajączków zmarzłych znalazła straż łow.

H. Tarnowski.

Lwów, w kwietniu 1928.

Bardzo dużego, a raczej rekordowego, niedźwiedzia ubił dnia 4. kwietnia br. około godz. 8-mej wieczorem, w Rafajłowej, w Dołżyńcu, przy ścierwie inż. Witołd Roszkowski. Niedźwiedź strzelony na komorę, z odległości około 20 kroków, po ciemku, padł niemal w ogniu. *S.*

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 28. marca 1928. r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezesi: Cyryl Czarkowski-Golejewski, A. Mniszek i A. Sander; członkowie Wydziału: inż. A. Ebenberger, Wł. Garapich, Dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski, H. Prek i Dr. W. Ziembicki; zastępcy: Dr. Fr. Piechowski i Dr. J. Rosinkiewicz; zaproszony: M. Chrzanowski; prowadzący protokół W. Wesołowski. Nieobecność usprawiedliwili: hr. Wł. Dzieduszycki i Stanisław Jaśkiewicz.

Przeciw reskryptowi Urzędu wojewódzkiego w Krakowie, który przyjął do wiadomości utworzenie oddziału M. T. Ł. w Krakowie, lecz równocześnie zażądał nadania temu oddziałowi osobnego statutu i odrębnej osobowości prawnej, postanawiono wnieść rekurs do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Z żywem zainteresowaniem wysłuchano doskonałego odczytu p. inż. Kamockiego z Warszawy na temat „Łowietwa w Polsce i jego przyszłości“. Uzyskano pozwolenie prelegenta opublikowania jego pracy na łamach „Łowca“.

Delegatami mianowano: Kazimierza Podolskiego w Sielcu na powiat samborski i Wincentego Stafińskiego w Samborze w tymże powiecie.

W poczet członków zostali przyjęci: Dr. Bogusław Longchamps we Lwowie, Kazimierz Podolski w Sielcu pow. samborski, Antoni Pisuliński w Rzeszowie, Mieczysław Zaborski w Podaniu poczta Chodzież (Poznańskie), Gen. Dr. Ignacy Zieliński we Lwowie.

Termin dorocznego Zjazdu ustalono na dnie 22. i 23. czerwca.

Do Szanownych Członków M. T. Ł. i Czytelników „Łowca“.

Zbierając szczegóły biograficzne o ś. p. Stanisławie Konstantym z Siemuszowej Pietruskim, znakomitym przyrodniku, upraszam najuprzejmiej te wszystkie osoby, do których wiadomość niniejsza dojdzie, a któreby posiadały jakiekolwiek materjały lub daty, mogące się do tej biografji przydać, listy, notatki, nawet informacje pamięciowe, — ażeby zechciały łaskawie ze mną się skomunikować.

Dr. Witołd Ziembicki
Lwów, ul. Bielowskiego 6

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.
Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.